

Władysław Kempfi

Przyczynki do publikacji "Palestry" o adwokaturze polskiej i jej stratach w latach 1939-1945

Palestra 20/11(227), 52-57

1976

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WŁADYSŁAW KEMPMI

Przyczynki do publikacji „Palestry” o adwokaturze polskiej i jej stratach w latach 1939-1945*

Jako świadek wydarzeń z lat 1939—1945, pragnę — w celu potwierdzenia niektórych faktów dla przyszłych badaczy dziejów adwokatury polskiej z tego okresu, zwłaszcza jeśli chodzi o adwokatów warszawską — uzupełnić informacje podane w cennej publikacji adw. dra Zdzisława Krzemińskiego pt. „Adwokatura polska w okresie okupacji hitlerowskiej (1939—1945)”, zamieszczonej w nrze 2 „Palestry” z 1976 r., a niektóre spośród tych informacji sprostować. Dotyczy to również pracy adw. Witolda Bayera pt. „Straty wojenne adwokatury polskiej w latach 1939—1945”, zamieszczonej w „Palestrze” w roku 1974 (praca zbiorowa pod redakcją Z. Krzemińskiego pt. „Adwokatura Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”), na którą adw. Krzemiński niejednokrotnie się powołuje.

Zacznę najpierw od września 1939 roku. Otóż nie wszyscy adwokaci będący oficerami rezerwy zostali od razu powołani do szeregów walczących. Posiadacze tzw. niebieskich zaświadczeń mobilizacyjnych mieli być — w razie ogłoszenia wojny — powołani do służby wojskowej za pomocą kart powołania lub na podstawie osobnego obwieszczenia. Tak się złożyło, że adwokaci warszawscy: Jerzy Czerwiński, Ludwik Cohn, Stanisław Hyżewicz oraz autor niniejszych wspomnień czekali na takie powołanie od pierwszego dnia wojny, a kiedy do dnia 5 września nie otrzymali tych powołań, zdecydowali się zgłosić sami do swoich pułków ochotniczo. W ten sposób adw. Stanisław Hyżewicz wyruszył do swego macierzystego 34 p.p. w Białej Podlaskiej na rowerze, a adw. Czerwiński, Cohn i ja — do koszar swego warszawskiego 36 p.p.L.A. przy ul. 11 Listopada, albowiem sam pułk od pierwszych godzin wojny — w ramach armii „Łódź” — ciężko krwawił w walkach pod Wieluniem, w których brał już udział późniejszy adwokat warszawski Lech Buszkowski.

Koledzy Jerzy Czerwiński i Ludwik Cohn otrzymali przydziały do kompanii strzeleckich w obronie Warszawy, a ja — do Dowództwa Obrony Warszawy, gdzie zameldowałem się u dowódcy obrony Warszawy generała Waleriana Czumy i u szefa jego sztabu pułkownika Tadeusza Tomaszewskiego. Dowództwo obrony Warszawy mieściło się w Al. Ujazdowskich pod numerem (wówczas) 28, skąd w dniu 8 września o świcie przeniosło się do gmachu b. Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przy ul. Nowy Świat nr 69. Tam to, na przemian z innym oficerem rezerwy, pełniłem służbę oficera ordynansowego, przyjmując wszystkie telefony i wykonując polecenia zarówno generała jak i jego szefa sztabu. W Dowództwie Obrony War-

* Opracowano na podstawie nie publikowanego fragmentu pamiętnika autora artykułu, złożonego w Muzeum Pawiaka.

szawy oprócz mnie pełniło służbę jeszcze dwóch innych adwokatów warszawskich, a mianowicie w jednym z oddziałów sztabu urzędował adw. Michał Skoczyński, komendantem zaś ochrony siedziby Dowództwa był kawaler Krzyża „Virtuti Militari” adw. Marian Paweł Sokołowski. Z obydwu wyżej wymienionymi kolegami miałem częste kontakty służbowe.

W czasie pełnienia swojej służby wzywałem często na polecenie gen. Czumy bohaterskiego prezydenta m. st. Warszawy majora Stefana Starzyńskiego, mianowanego potem komisarzem cywilnym obrony Warszawy. Z nim to właśnie, przy okazjach jego pobytu w Dowództwie, przeprowadzałem, jako z dawnym znajomym z okresu współpracy w organach miejskich m. st. Warszawy, krótkie rozmowy na aktualne wówczas i niepokojące tematy.

W czasie mojej służby w Dowództwie: najpierw w siedzibie przy ul. Nowy Świat 69, a następnie w schronie PKO na rogu ul. Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej, dokąd przeniósł się ścisły sztab Dowództwa wskutek bardzo silnego ostrzału artyleryjskiego i lotniczego gmachów przy ul. Nowy Świat, meldowałem gen. Czumie dowódców poszczególnych jednostek oraz zgłaszające się w różnych sprawach osoby cywilne. Pamiętam dobrze, że jeszcze kiedy gen. Czuma urzędował — w pierwszych dniach oblężenia przez Niemców Warszawy — w gmachu przy ul. Nowy Świat 69 (w dawnym gabinecie ministra Sławoj-Składkowskiego), meldowałem mu m.in. warszawskich adwokatów: pułkownika Jana Nowodworskiego i podpułkownika Witolda Szulborskiego, którzy otrzymali polecenie zorganizowania Sądu Polowego przy Dowództwie Obrony Warszawy i Sąd taki zorganizowali.

Przez Dowództwo przewijali się również inni jeszcze adwokaci warszawscy, mniej mi znani, których nazwisk dziś już nie pamiętam.

Po bitwie pod Kutnem, a jeszcze na długo przed kapitulacją Warszawy i Modlina, kiedy przebili się do Warszawy cofające się po bitwie nad Bzurą jednostki wojskowe, pewnego dnia naliczyłem w schronie PKO dziewięciu generałów, a wśród nich gen. Karaszewicza-Tokarzewskiego. Ten ostatni mówił wtedy do nas, młodszych oficerów, o potrzebie organizacji ruchu podziemnego. Jak wiadomo, był on pierwszym komendantem „Służby Zwycięstwu Polski”, późniejszej „Armii Krajowej”.

Nie od rzeczy też może będzie przypomnieć w tym miejscu, że kiedy po zgłoszeniu się do służby liniowej meldowałem się wraz z innym oficerem u dowódcy frontu zachodniego obrony Warszawy płka dypl. M. Porwita, to czyniłem to właśnie w podziemiach gmachu Sądów przy ul. Leszno (w lokalu dzisiejszego bufetu), gdzie mieściło się Dowództwo odcinka zachodniego obrony Warszawy. Stamtąd też zostałem przydzielony do Lwowskiego 40 p.p., w którym już przebyłem do końca działań wojennych w Warszawie.

Tyle, jeśli chodzi o wrzesień 1939 r.

Druga sprawa, w której pragnąłbym pewne fakty uzupełnić, wyjaśnić, a nawet sprostować — to sprawa wywiezienia z „Pawiaka” pierwszego transportu do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Wywieziono wówczas adwokatów warszawskich, a wśród nich także mnie. Sprawie tej poświęcone są niezupełnie ściśle opisy w dokumentalnej książce Władysława Bartoszewskiego pt. „Warszawski pierścień śmierci 1939—1944” (wydanie drugie z 1970 r.) oraz w książce Leona Wanata pt. „Z murami Pawiaka” (wydanie piąte z 1972 r.), natomiast sprawa ta została całkowicie pominięta we wspomnianych na wstępie pracach adw. adw. W. Bayera i Z. Krzemińskiego. Czuję się więc w obowiązku, jako uczestnik tych smutnych wydarzeń, dokładnie odtworzyć na podstawie swoich pamiętników historię wywiezienia tego transportu z Pawiaka, zwłaszcza zaś gdy chodzi o wywiezionych w tym transporcie warszawskich adwokatów.

Zostałem aresztowany przez gestapo w brutalnych okolicznościach w nocy z 14 na 15 kwietnia 1940 r. i zabrany z mieszkania przy ul. Konopczyńskiego 5/7 w Warszawie, gdzie wówczas mieszkałem. W samochodzie, do którego mnie załadowano, znajdował się już drugi „delikwent”, znany w Warszawie prezes „Lewiatana” Andrzej Wierzbicki. Zawieziono nas do gmachu w al. Szucha, a następnie o świcie — na Pawiak.

Pierwszym adwokatem, na którego natknąłem się w celi przejściowej, był Jerzy Janowski, któremu przypisywano, że przyczynił się do zadania adwokaturze różnych ciosów, jakie na samym początku okupacji spadły na adwokatów warszawską. Zaraz też zaprowadzony zostałem do łaźni, a stąd zawieziono mnie na Szucha na przesłuchanie. W drodze powrotnej z al. Szucha spotkałem w „budzie” swego przyjaciela, adwokata Jerzego Dorożyńskiego. Wracał on również z przesłuchania, a że był wcześniej ode mnie aresztowany i już dobrze się orientował w stosunkach więziennych (służba więzienna była wtedy jeszcze polska), znalazłem się dzięki jego „interwencji” w celi adw. Dorożyńskiego na tzw. Serbii, w której później więziono kobiety.

W celi tej znalazłem się jako czwarty adwokat, obok adwokatów Władysława Gintowt-Dziewałtowskiego, Ludomira Skórewicza i Jerzego Dorożyńskiego. Dwaj pierwsi mieli być wkrótce ofiarami „Palmir”, a adw. Dorożyński i ja — uczestnikami transportu do Sachsenhausen.

W roku 1940 nie było jeszcze getta, toteż pod więzieniem wzdłuż ul. Dzielnej przechodziło tam i z powrotem wielu warszawiaków, których członkowie rodzin znaleźli się na Pawiaku. Dzięki temu mogłem już pierwszego dnia pobytu na Pawiaku zawiadomić moją rodzinę o miejscu swego pobytu. Udało mi się dokonać tego dzięki znakomitej aktorce teatrów warszawskich Zofii Lindorffównie, która właśnie przyszła „odwiedzić” Jerzego Dorożyńskiego. Zawiadomiona przez niego przez zakratowane okno, wychodzące na ulicę Dzielną, swoistymi znakami, zrozumiała dzięki swej inteligencji, o co chodzi, i w dwie godziny później przyszła ponownie pod więzienie, ale już z moją żoną.

Pobyt w celi z wymienionymi wyżej kolegami nie trwał długo. Po kilku dniach zaczęły się przegrupowania, ciągle zbiórki na dziedzińcu więziennym, po których nie wracało się już do swoich cel poprzednich.

Zaczęto wtedy mówić o transporcie do obozu koncentracyjnego. W czasie takich zbiorów chodzili wzdłuż szeregów gestapowcy i — orientując się „po twarzach” — wyciągali niektórych więźniów i przydzielali ich do innych grup. Byli to więźniowie potrzebni gestapowcom do prowadzonych przez nich dochodzeń bądź też przeznaczeni do „Palmir”. Widziałem, jak w ten sposób wyciągnięto z szeregów adwokatów: Stanisława Jezierskiego, naczelnego radcę prawnego Zarządu Miejskiego m.st. Warszawy, oraz Czesława Jankowskiego, znanego działacza harcerskiego.

Po jednym z takich przegrupowań znalazłem się na oddziale VII (tzw. „siódemce”) na pierwszym piętrze. Tam też spotkałem swych znajomych, a wśród nich adw. Alfreda Burschego i jego brata, profesora Uniwersytetu Warszawskiego i zarazem dziekana teologii ewangelickiej Edmunda Burschego. Odwiedziłem obu w ich celi. Pewnego dnia ustawiono nas w dwuszeregu na korytarzu i zapowiedziano przegląd przez samego „ministra”. Stałem w pierwszym szeregu. Nie opodał w tym samym szeregu stał prof. Bursche, odznaczający się długą, siwą brodą. Za mną w drugim szeregu stał znakomity cywilista adw. Ludwik Domański. „Ministrem” tym był sam Himmler. Prof. Bursche zwrócił swoim wyglądem uwagę Himmlera. Wtedy to padły z ust Himmlera pod adresem profesora słowa: „zdrajca narodu niemieckiego”. Incydent ten w różnych późniejszych relacjach został niepotrzebnie upiększony. Wspaniała postać prof. Burschego tego nie potrzebuje.

W czasie pobytu Himmlera w Warszawie zaczęto zwozić na Pawiak w'elu nowych więźniów, których brano z ulic, tramwajów i kawiarni (tzw. łapanki).

Z czasem doszło do wywiezienia z Pawiaka, mianowicie w dniu 2 maja 1940 r., pierwszego wielkiego transportu do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Transport ten liczył 2.016 osób. Liczba ta utkwiła mi dobrze w pamięci. A więc nie 1.120, jak podaje Wanat, i nie 1.500 osób, jak podaje Bartoszewski, tylko 2.016. Wywożenie transportu odbyło się w dramatycznych okolicznościach. Już przy ładowaniu do samochodów rozpoczęło się bicie. Do dziś jeszcze słyszę głos adw. Mieczysława Przyjemskiego, który uderzony przez żandarma kolbą karabinu, usiłował protestować (...).

W czasie przejazdu przez dzielnicę żydowską (nie było jeszcze wtedy getta) serie pistoletów maszynowych puszczane wzdłuż ulic spowodowały, że ulice natychmiast opustoszały. Przywiezieni na rampę Dworca Zachodniego, zanim dostaliśmy się do przygotowanych wagonów towarowych, musieliśmy przebiec przez szpaler gestapowców, którzy bili nas żelaznymi prętami lub pejciami o końcach zaopatrzonych w żelazo. W takich właśnie okolicznościach zraniony został w głowę prof. Bursche, któremu w wagonie jakiś gestapowiec na zalaną krwią głowę wtłoczył jego kapelusz. Wagony nasyczone były gryzącym pyłem wapna. We wczesnych godzinach rannych 3 maja 1940 r. pociąg ruszył w nieznaną. W czasie jazdy strzelano do wagonów, aby w ten sposób odstraszyć wiezionych od wyglądania przez zakratowane otwory okienne. Wskutek tego istotnie, jak to podaje Bartoszewski, dowieziono do Sachsenhausen 7 trupów.

Ostatecznie w omawianym transporcie znaleźli się adwokaci z Warszawy: Stanisław Błeszyński, Marian Borzęcki, b. wiceprezydent m.st. Warszawy i pierwszy delegat Rządu w Londynie, Alfred Bursche, Eugeniusz Dmowski, Jerzy Dorożyński, Władysław Kempfi, Zdzisław Laskowski, Jan Lesman, Feliks Majorowicz, Mieczysław Przyjemski, Mieczysław Rudziński, Józef Staryszak, Stefan Urbanowicz, Paweł Żaluskowski oraz adwokat z Płocka Stanisław Zgliczyński. W transporcie znalazł się także obrońca sądowy z Piaseczna Marjan Duchiniński, a także woźny Klubu Adwokatów Stefan Uściłowski, aresztowany w herbaciarni Rady Adwokackiej.

Rano 4 maja 1940 r., po podróży w niezwykle makabrycznych warunkach, transport został wyładowany na stacji Sachsenhausen koło Berlina. Wśród przerażających okrzyków eskorty trzeba było wyskakiwać w dół z wagonów usytuowanych na wysokim nasypie i natychmiast ustawiać się w kolumny. W ten sposób znalazłem się tuż obok adw. Marjana Borzęckiego, który będąc aresztowany jeszcze w zimie, miał na sobie ciężkie futro i taką walizkę. Pomagałem mu ją nieść do obozu, odległego blisko 3 km od miejsca wyładowania. Po przekroczeniu bramy obozowej przed oczami wchodzących roztoczył się widok ogromnego placu, z którego rozchodziły się wachlarzem ulice baraków. Na szczytowych ścianach tych baraków umieszczone były pojedyncze słowa, które w sumie dawały napis głoszący, że jest tylko jedna droga do wolności, a jej „milowymi kamieniami” są różne cnoty niemieckie z miłością do ojczyzny na końcu. Takim to napisem powitano więźniów wchodzących na teren obozu, po czym skierowano ich na boczny plac apelowy, skąd po odpowiednim przemówieniu, odebraniu przywiezionych walizek i ubrań oraz po dokonaniu „higienicznych” zabiegów ubrano więźniów w pasiaki i ciężkie chodaki i rozmieszczono po blokach.

Adwokaci warszawscy znaleźli się po kilku w trzech blokach: 37, 38 i 41. W obozie wszystko odbywało się *im Laufschrift*, czyli w biegu. Ciągłe słyszało się dudnienie biegnących uliczkami kolumn. Żadnej pracy na razie nie było. Był tylko „sport

i gry" (*Sport und Spiele*), z których zawsze przynoszono po kilka trupów starszych więźniów, chorych na serce! Poza tym uczono śpiewu różnych niemieckich pieśni obozowych.

Największe tragedie były z układaniem się do snu. Nikt nie miał własnego siennika ani pledu. Więźniowie kładli się spać na boku, ale mimo to — wobec przeludnienia baraków — nie starczało miejsca dla wszystkich.

Tam to adw. Stefan Urbanowicz, znany ze swoich dużych obrotów adwokackich, skarżył się do mnie, że jeszcze nigdy nie był tak biedny. Po kilku tygodniach, w trzeciej dekadzie maja, zaczęto znowu szykować transport więźniów do innego obozu. Mówiono, że do obozu pracy. Wybierano zdrowych. Ale można było o tyle wpływać, gdy kto chciał, na los wypadków, że niektórzy zdrowi zostawali, a chorzy jechali. Kiedy odbywałem naradę z prof. Edmundem Burschem: jechać czy nie jechać — ten ostatni przeciał moje wątpliwości powiedzeniem, że on jedzie, bo przecież większego piekła już nie może być, a może będzie lepiej. Niestety, okazało się, że było jeszcze większe piekło. Wieziono nas przez całe Niemcy do Mauthausen. Tym razem w wagonach osobowych, ale z zachowaniem ogromnych ostrożności.

Eskortą pytała nas, jakimi to zbrodniarzami jesteśmy, cośmy takiego zrobili. Nie chciano wierzyć, że jednego wzięto z ulicy, drugiego z kawiarni, a innych z tramwaju czy mieszkania.

W ten sposób w Mauthausen-Gusen (podobóz) znaleźli się adwokaci: Borzęcki, Bursche, Dmowski, Kempfi, Laskowski, Majorowicz i Zgliczyński, a także woźny Klubu Adwokackiego Uściłowski. Reszta pozostała nadal w Sachsenhausen. Obóz w Mauthausen-Gusen był istotnie „gorszym piekłem” niż w Sachsenhausen. Praco- wało się tam ciężko i wśród ciągłej grozy, m.in. w kamieniołomach (w „Deutsche Erd und Stein Werke G.m.b.h.”, jak to się niewinnie nazywało).

Tam w Mauthausen w dniu 4.VI.1940 r., dosłownie na moich i jednego ze współ- więźniów rękach, zmarł z wycieńczenia, pobicia i choroby płuc i serca adw. Marian Borzęcki. Tam też przeżywaliliśmy upadek Paryża i Francji. Niemcy szaleli z radości, a dla nas, jak nam się zdawało, był to ... koniec. Prof. Bursche podtrzyma- wał mnie wtedy na duchu, podkreślając prężność Narodu Polskiego, który nie może zginąć.

Los sprawił, że z początkiem lipca przewieziono mnie w grupie 10 więźniów z powrotem na Pawiak. Po drodze grupa ta „zwiedzała” od pociągu do pociągu więzienie gestapo w Wiedniu. Gdy znalazłem się na Pawiaku, było już po „Palmi- rach” i pierwszych zbrodniach wówczas dokonanych. Gdy potem po zwolnieniu opowiadałem o swoich przeżyciach obozowych kolegom, nie chciano mi wręcz wie- rzyć. Wkrótce „na własnej skórze” niektórzy z nich mieli sprawdzić prawdziwość moich opowiadań.

Z grupy adwokatów wywiezionych w dniu 2.V.1940 r. ocalałem chyba tylko ja jeden. Reszta została wymordowana bądź zginęła w obozach. W Palmirach zginęli m.in. adwokaci: Władysław Gintowt-Dziewałowski, Edmund Grabowski, Czesław Jankowski, Stanisław Jezierski, Ludomir Skórewicz, Wacław Tyrchowski. Wszyst- kich ich prawie widziałem na Pawiaku w okresie od 15.IV do 2.V.1940 r.

Przez podanie powyższych danych pragnę przyczynić się w ten sposób do oca- lenia od niepamięci wspomnianych przeze mnie kolegów. Zastrzegam się jednak, że nazwiska te nie wyczerpują całości strat przedwojennej adwokatury warszaw- skiej.

Z adw. Wacławem Szumańskim spędziłem wspólnie kilka tygodni w jednej celi w czasie mego ponownego przebywania na Pawiaku na przełomie października i listopada 1942 r. Był on tam również po raz drugi na Pawiaku po powrocie z Oświę-

cia i po ponownym aresztowaniu. Wywieziony po raz drugi do Oświęcimia — zg'nął.

Odrębnego opracowania wymaga wybitny udział adwokatów warszawskich w pracach Straży Obywatelskiej w czasie oblężenia Warszawy w 1939 r. oraz w czasie pierwszych miesięcy okupacji. Również odrębnego opracowania wymaga los adwokatów warszawskich wywiezionych w transportach po 2.V.1940 r. bądź osadzonych na „Pawiaku” i tam pomordowanych.

Na zakończenie chciałbym jeszcze wspomnieć o znakomicie zapowiadającym się adwokacie warszawskim Tytusie Wiłskim, który jako oficer poległ w 1939 r. w bitwie pod Kockiem.

NOTATKI

1.

Uroczyste spotkanie kierownictwa wojskowego wymiaru sprawiedliwości z adwokatami obrońcami wojskowymi z okazji Dnia Wojska Polskiego

Święto Ludowego Wojska Polskiego, obchodzone uroczystie w Siłach Zbrojnych PRL, stanowiło również okazję do podsumowania działalności oraz oceny zaangażowania zawodowego i społecznego adwokatów zrzeszonych w kłach obrońców wojskowych, działających przy poszczególnych sądach wojskowych na terenie kraju.

W roku bieżącym, podobnie jak w latach ubiegłych, Minister Obrony Narodowej, w uznaniu zasług położonych w dziedzinie umacniania siły obronnej i dyscypliny w Siłach Zbrojnych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, nadał licznej grupie adwokatów obrońców wojskowych medale „Za Zasługę dla Obronności Kraju”.

Srebrnym medalem wyróżnieni zostali adwokaci: Zdzisław Kamiński z ZA Nr 6 w Warszawie, Witold Sienicki z ZA Nr 3 w Krakowie i Stanisław Urbaniak z ZA Nr 14 w Gdańsku.

Braźowy medal nadano adwokatom: Ryszardowi Buchlińskiemu z ZA Nr 8 i Stefanowi Wolskiemu z ZA Nr 2 w Lublinie, Marianowi Dziurce z ZA Nr 1 w Głogowie, Stefanowi Cegielskiemu z ZA Nr 2 w Zielonej Górze, Mieczysławowi Fajsztajnowi z ZA Nr 5 w Katowicach, Ewarystowi Grygielowi z ZA Nr 2 i Henrykowi Nowakowi w Olsztynie, Waldemarowi Heislerowi z ZA Nr 6 w Gdyni, Stefanowi Jaukszy z ZA Nr 3 i Henrykowi Sójce z ZA Nr 14 z Poznania, Lechowi Kasperskiemu z ZA Nr 3 w Słupsku, Dominikowi Maciołkowi z ZA Nr 2 w Koszalinie, Irenie Kaszyńskiej-Bielowskiej z ZA Nr 3 i Tadeuszowi Weynie z ZA Nr 2 w Bydgoszczy, Stefanowi Kałużnemu z ZA Nr 7 we Wrocławiu, Czesławowi Walkowiczowi z ZA w Bystrzycy Kłodzkiej, Justynie Tkaczyk-Galan-towej z ZA Nr 6 i Zenonowi Matlakowi z ZA Nr 3 w Szczecinie, Jerzemu Nizińskiemu z ZA Nr 1 w Myślenicach oraz Danucie Ryffel z ZA Nr 14,